Piątek Nr. 23. 30. grudnia 1870

KURYER TEATRALNY LWOWSKI.

Wychodzi w dnie przedstawień polskich. Cena egzemplarza 4 cnt. Przedpłata wynosi rocznie 4 złr., półroczuie 2 złr. kwartalnie 1 złr., miesięcznie 35 centów.

Przedpłatę przyjmuje każdego dnia Kasa teatru polskiego w gmachu teatralnym — rano od 10 do 12, po południu od 3 do 5tej.

Porwanie pięknej Heleny.

(Z pamiętników byłego autora prowincjonalnego.)

(Ciąg dalszy)

Po chwili namysłu, spytałem Jacentego:

— Czy panna Helena jest jedynaczką?

— Nie, ma trzech braci i dwie siostry. Bracia są w szkołach, starsza siostra jest zakonnicą, a druga w nowicjacie.

— Czy panna Helena ma jaki majątek własny?

— Ma, i nie ma. Siostra p. Modliborskiego zapisała jego córkom kapitał bardzo znaczny, ulokowany na majątku, który po niej odziedziczył p. Modliborski. P. Modliborski obowiązanym jest, według testamentu, wypłacić każdej ze swoich córek w chwili wydania jej za mąż, czterdzieści tysięcy złr. monetą konwencyjną cwancygierami, licząc po trzy cwancygiery na jeden złr. Póki córka nie pójdzie za mąż, zapis nie wchodzi w życie, i kapitał nieoprocentowany zostaje na hipotece Karczówki, Karczowisk i Podkarczowiec, które są własnością p. Modliborskiego.

— Zaczynam pojmować!

— Co zaczynasz pojmować?

— Dlaczego jedna panna Modliborska jest zakonnicą, druga w nowicjacie, a trzecia ma wstąpić do nowicjatu.

Jakkolwiek nie użyłem żadnego obcego wyrazu, któregoby nie rozumiał Jacenty, wytrzeszczył on na mnie znowu oczy w sposób mówiący aż nadto wyraźnie, że mię zupełnie nie rozumie. Nim mu rzecz wytłumaczyłem bliżej, nie mogłem wstrzymać się od uśmiechu z powodu wspomnienia, które w tej chwili żywo stanęło mi w myśli. Oto przypomniałem sobie słowa pewnego barona, który dziś już jest nieboszczykiem, i który mimo tego, iż był baronem, był szlachcicem starej daty. Mawiał on nieraz: „Polak, to jest szlachcic polski, we wszystkiem co robi, doprowadza zawsze do ekstremu. Jeżeli poczciw, to całą duszą, jeżeli cygan, to gorszy od żyda, a jeżeli głupi, to już panie Dobrodzieju jak but! Z tych trzech ekstremów, pan Jacenty zdawał mi się personifikować dwa, trzeci zaś, czy po bliższem zbadaniu nie znalazłby się w Modliborach.

— Powiedzże mi teraz, mój Jacenty, odezwałem się, gdym się już nasycił do woli widokiem tej żywej ilustracji do słów śp. barona — powiedz mi, ile ty masz majątku?

— Hm... alboż ja wiem. Mam... i tu począł mi wyliczać nieskończoną ilość liczb, o których wartości nie miałem wyobrażenia. Był to czas, kiedy jeszcze majątki obliczano podług ilości poddanych, dni roboczych ciągłych i pieszych, co wszystko razem, z dodaniem tak zwanych dochodów „suchych", mogło być kapitalizowane według zasad zupełnie dowolnych, lub zawisłych od okoliczności. Po długiem gadaniu, które mię przekonało o małej biegłości Jacentego w arytmetyce, przyszedłem do przekonania, że nie wie on sam dokładnie, ile posiada, i wie tylko, że ma, Bogu dzięki, czego mu potrzeba. Przyszedłem w pomoc poczciwemu Anti-Archimedesowi podolskiemu, i wybadawszy go szczegółowo, zestawiłem jako rezultat ostateczny, iż p. Jacenty posiada obecnie od 10 do 15 tysięcy złr. rocznego dochodu, że po najdłuższem życiu pewnej „cioci Klimci" przybędzie mu jeszcze 6 tysięcy, a po najdłuższem życiu „cioci Frani" 8 tysięcy, i jeszcze zostanie mu ekspektatywa na koniec najdłuższego życia starego Jmci pana Muchomorskiego, który także

nie miał innych spadkobierców, prócz p. Jacentego, i przy nader oszczędnem życiu a wielkim majątku mógł zostawić dwa razy tyle, ile posiadał p. Jacenty wraz z obiema swojemi „ciociami.“

— Ależ ty jesteś prawdziwym Krezusem, Jacku, i możesz bez szkody zostawić p. Modliborskiemu tych czterdzieści tysięcy, któreby musiał wypłacić pannie Helenie!

A... a... prawda! wyrzekł mój przyjaciel i wytrzeszczał oczy coraz mocniej, ażeby mi dowieść, iż nie rozumie ani na krztę, dlaczego sprowadziłem rozmowę na ten przedmiot i dlaczego twarz moja rozpromieniała się pewnością zwycięztwa. Ale co mi z tego, dodał po chwili z głębokiem westchnieniem — p. Modliborski nie da mi Heleny!

Da, da ci Helenę, ja ci powiadam, że ci ją da, i że będzie żałował, iż nie ma trzech, czterech, dziesięciu Helen, któreby ci mógł dać do poślubienia!

— Et... gadasz!

— Jakto, człowiecze, czy jeszcze nie pojmujesz? Czy nie rozumiesz, dlaczego pan Modliborski swoich córek nie chce wydawać za mąż? Ależ to rzecz jasna jak słońce: wydając córkę za mąż, musiałby jej wypłacić 40.000 złr. mon. konw. cwancygierami, licząc po trzy cwancygiery na jeden złr. w. a. Oddając córkę do klasztoru, czyni on legat swojej siostry bezprzedmiotowym, i zostaje właścicielem cwancygierów, które ciężą na jego Karczówce, Karczowiskach i Podkarczowcach! Szlachetny ten i bogobojny człowiek nie chce, ażeby jego córka kupiła sobie męża za cwancygiery jego siostry, i woli je schować do swego kuferka. Jeżeli chcesz tedy mieć pannę Helenę, musisz ją sobie kupić od p. Modliborskiego.

— Kupić? Jak kupić?

— No, to znaczy, musicie mu oboje przed ślubem zrobić koncesję pieniężną, musicie się zrzec owych czterdziestutysięcy reńskich!

— A... a... prawda! Ale co mi z tego, westchnął znowu p. Jacenty, p. Modliborski przecież nie da mi swojej córki!

— Da!

— Ach, nie da, nie da! Wiesz, mój kochany Aureli (nazywam się bowiem Aureli, jeżeli państwo nie macie nic przeciw temu) ja już mam takie jakieś nieszczęście na tym świecie. Ach, ty nie wiesz, jaki ja jestem nieszczęśliwy! I p. Jacenty, jak babcię kocham, zakrył twarz obydwoma rękami i począł szlochać. Nie wiem, do jakiego rodzaju „ekstremów“ byłby śp. baron zaliczył to szlochanie, ale to wiem, że niektórzy z P. T. moich szanownych ziomków, równie herbowych jak i nieszlacheckiej kondycji, często dla równie błahych powodów zwykli opuszczać uszy i oddawać się czarnej melancholii, albo letargicznemu zobojętnieniu na wszystko, co się dzieje Kto studjował stan umysłów w kraju naszym o różnych porach, mógł wraz ze mną zrobić to spostrzeżenie. Na każdy wypadek, żywa boleść Jacentego świadczyła, ze umiał kochać i że serce w człowieku może się rozwinąć do wielkiej doskonałości bez najmniejszej znajomości obcych wyrazów, historji, arytmetyki i ortografii, i bez równoczesnego rozwoju wrodzonych władz intelektualnych. (C. d. n.)

Towarzystwo artystów muzycznych i uroczystość Beethovena w Warszawie.

Istnieje w Warszawie Towarzystwo Artystów Muzycznych, o którym zdaje Gazeta Warszawska corocznie krótkie sprawozdania, nie zwracające na siebie bardzo ogólnej uwagi, chociaż zasługują na to. Są to bowiem, jak słusznie twierdzi Gazeta, faktyczne dowody, co może dobra wola, uczciwa staranność i skupienie ku jednemu celowi drobnych środków. Celem Towarzystwa jest naprzód zapewnienie uczestnikom stałego wsparcia, czyli jak się u nas nazywa w pospolitym języku emerytury, po pewnym przeciągu lat opłaty pewnej, stosunkowo bardzo skromnej kwoty. Jest więc ono z jednej strony, można powiedzieć, stowarzyszeniem ubezpieczenia życia. Oprócz tego towarzystwo daje wsparcia jedno lub więcej razowe ubogim artystom muzycznym, bądź to znękanym wiekiem lub chorobą, bądź młodym potrzebującym się kształcić, a w swej pracy i zdolności uznanej dającym rękojmią, że wykształcić się mogą na artystów wyższej zasługi. Z tej strony jest stowarzyszeniem dobroczynnem. Muzyków wykonawców jest u nas dość; są chwile w roku, gdy jest więcej potrzebujących zajęcia niż mogących je znaleźć. Ogół publi-

czności ani chce, ani nawet może wiedzieć, jak ciężkie nieraz bywa położenie niektórych, nie mogących prawie nigdy zarobić tyle, by coś na czarną odłożyć godzinę. Publiczność ani się domyśla, ile naprzykład brać może skrzypek, grający pierwsze skrzypce w jakiej orkiestrze? — 450 do 600 rsr. rocznie to już bardzo poważna płaca. Drugie skrzypce i inne instrumenta biorą jeszcze mniej; płaca schodzi nawet do 180 rsr. rocznie. Czy taka płaca, przy takiej drożyznie, jaką dziś mamy w Warszawie, pozwala coś oszczędzić? A jednak ci ludzie musieli długo pracować, nim doszli do wymaganej biegłości; muszą niemało pracować ciągle na próbach, by całość orkiestrowa wyszła jak należy. Bo wymagania u nas większe zapewne niż hojność. Co z takiego położenia może nieraz dla niejednego wyniknąć, łatwo się domyśleć; czarna godzina w każdej chwili grozi, jeżeli każda chwila, życie całe nie jest w takim razie tylko jedną czarną godziną. Towarzystwo stara się temu zaradzić, o ile może, o ile jego szczupłe fundusze na to wystarczają; mogłoby więcej, gdyby znalazło uznanie tak powszechne jak na to zasługuje.

Na korzyść tego towarzystwa odbył się w Warszawie w tych dniach koncert pod inwokacyą setnej rocznicy urodzin Beethovena. Uczczono wielkie w sztuce imię, imię należące do całej ludzkości, dobrym uczynkiem. Takie uczczenia najlepsze. Ta inwokacya zapewniła powodzenie koncertowi. Nasza publiczność bije czołem przed Beethovenem, jak bije cały świat. Czy wszystkie owe tysiące wielbicieli cześć tę oddają z głębokiego przekonania, ze zrozumienia, poznania, chociażby poczucia i wsłuchania się w arcydzieła mistrza, nie będziemy tego badali. Z geniuszami, w jakimbądź kierunku ich myśl idzie, albo raczej jakąbądź formę do wypowiedzenia siebie wybiera, zwykle tak bywa, że cześć, przez massy im składana, składana jest na wiarę. Znajdziecie to samo przy Szekspirze, znajdziecie to przy Mickiewiczu, znajdziecie to przy Beethovenie. Z tysiąca czcicieli trzem czwartym nie stawiajcie tego ciężkiego pytania: Dla czego? Niekiedy nawet nie stawiajcie tego pytania co czytali? co słyszeli z dzieł uwielbianego? Nie tu miejsce, ani też siły nasze, pisze Gazeta Warszawska, po temu by objaśnić wielkość Beethovena. Wywiązaćby się z tego można dość łatwo, posiłkując się licznemi pracami o życiu i pracach wielkiego twórcy 9-ciu symfonii, które dziś wychodzą w Niemczech z powodu owej setnej rocznicy. Nawet znany i słynny Wagner, autor Tannhauzera, Lohengryna etc., zstąpił ze swego piedestału i przemówił do rzeszy objaśniając jej: co jest Beethoven — a objaśniając w sposób, który dla niewtajemniczonych w hieroglificzność heglowskiego języka, potrzebowałby przynajmniej w wielu miejscach długich kommentarzy. Wagner wykłada po swojemu filozofią muzyki.

Najjaśniejsze i bardzo prawdziwe zdaje nam to zdanie, że Beethoven wyprowadził muzykę ze sfery piękna w sfery szczytności, że uwolnił melodją od wpływu mody i zmiennego smaku, że ją uczynił wiecznie-trwałym typem, skutkiem czego jego muzykę wszystkie czasy rozumieć będą.

Nowiny i rozmaitości teatralne.

Z Krakowa piszą: „We wtorek występował po raz pierwszy na scenie naszej p. Webersfeld, artysta dramatyczny, w komedyi jednoaktowej z francuskiego przez E. Najac p. „Przypatry do muru.“ Jak zawsze tak i dzisiaj powtórzyć musimy, że nie można sądzić artysty z pierwszego wystąpienia. W roli Tristana w powyższej komedyjce dał nam się poznać p. Webersfeld ze strony dobrej, sądząc go bowiem z tej roli, śmiało powiedzieć można, że posiada warunki niezbędnie potrzebne każdemu artyście: głos dobry i ruchy dość wyrobione, zdradzające nawet pewną rutynę sceniczną. W ogóle p. Webersfeld odpowiedział grą swoją dobrej pod każdym względem grze p. Emilii Baumanównej (Gabryela). Obok tego powtórzono „Fircyka w Zalotach.“

We czwartek przedstawiono dramat w 4 aktach Wiktora Hugo p. n. Angelo Malipieri, tyran Padwy, czyli Dwie rywalki. Przedstawienie to pod względem gry artystów należy bezsprzecznie do najlepszych w bieżącym sezonie teatralnym, trudno nam nawet przychodzi powiedzieć, komu oddać pierwszeństwo. Oczywiście mówimy tu o rolach pierwszorzędnych jak Angelo (p. Benda), Katarzyna (p. Parżnicka), Tizbe (p. Hoffmannowa i Rudolf (p. B. Ładnowski); wszystkie te role odznaczały się wykończeniem i wielką starannością. Zauważyć tylko musimy, że sufler tak głośno podpowiadał, że prawie przez całą sztukę publiczność pierwej słyszała suflera, niż artystę lub artystkę. Nie dziwiłoby nas to, gdyby artyści nie byli umieli ról dobrze na pamięć.

— Liszt stale podobno zamierza osiąść w ojczyźnie swojej, Węgrzech. Otrzymał on w ostatnich czasach propozycje dworów petersburgskiego i berlińskiego, ażeby zamieszkał przy nich, lecz hr. Andrassy, jak donoszą przedsięwziął środki, ażeby Liszt mógł odrzucić te propozycje.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny **Juliusz Stanko**

Z drukarni E. Winiarza.

Z uchyleniem Abonamentu

W ces. król. uprz. teatrze hr. Skarbka we Lwowie

na dochód JOANNY GERMAN

w Piątek dnia 30. Grudnia 1870 roku

pierwszy raz:

FERNANDA

najnowsza komedja w 4 aktach przez Wiktoryna Sardou, przełożył M. Chrzanowski.

Osoby:

Andrzej	—	P. Wolański.	Gertruda	—	Pni Miłaszewska.
Pomerol	—	Miłaszewski.	Pani Senechal	—	Pni Linkowska.
Roqueville	—	P. Królikowski.	Magdalena	—	Pna Wojnowska.
Bracasin	—	P. Wojnowski.	Armanda	—	Pna Rakowska.
Anatol	—	P. Mikulski.	Pani de Brionne		Pni Hubertowa.
De Civry	—	P. Szymański.	Baronowa	—	Pna Weitz.
Komandor	—	P. Baranowski.	Gibraltar	—	Pna Rudkiewicz.
Maresquier	—	P. Zieliński.	Santa-Cour	—	Pna Urbańska.
Baron	—	P. Koncewicz.	Staruszka	—	Pna Zalewska.
Generał	—	P. Galasiewicz.	Teresa, służąca Klotyldy		Pna Sułkowska.
Fryderyk,	służący	P. Dębicki.	Józef, służący	—	P. Jawecki.
Alfred,	służący	P. Bąkowski.	2 służący	—	P. Kwiatkowski.
Klotylda	—	**J anna German.**	Służąca	—	Pna Kwiatkowska.
Fernanda	—	Pni Szymańska.			

Rzecz dzieje się we Francji.

Ceny miejsc zwyczajne.

Początek o godzinie 7.